

W POSZUKIWANIU ZAGINIONEGO POŁĄCZENIA

Piątkowy wieczór w pubie Franka Eddiego w Blacklion, na granicy Republiki Irlandii i Zjednoczonego Królestwa. To właśnie tutaj, na przełomie lat 70-tych i 80-tych miały swój początek i zakończenie sagi o klasycznych już dziś na Północy połączeniach takich systemów jak Reyfad - Pollnacrom, Prod's Pot – Cascades czy Noon's Hole – Arch Cave. Trzy dekady temu rejon Fermanagh i Cavan przyciągał czołowe nazwiska brytyjskiego nurkowania jaskiniowego, kusząc swym zaledwie co tkniętym potencjałem eksploracyjnym. Nad licznymi pintami czarnego guinnessa przywołujemy cienie ówczesnych bohaterów: Roger Solari, Martyn Farr, Rob Palmer, David Woods...większości z nich nie ma już wśród nas, zapłacili za swoją pasję najwyższą cenę, a wraz z nimi tamte ekscytujące czasy wydały się już bezpowrotnie minąć. Wychodzę na chwilę by ulżyć swojemu umęczonemu pęcherzowi i gdy wracam podchwytyję jak Les Brown, hydrolog i grotolaz osiadły w Blacklion, mówi o jakimś tajemniczym Zielonym Jeziorze w systemie Marble Arch (4.5km), które jest prawdopodobnie syfonem. Nurkowano w nim zaledwie raz, kilkanaście lat temu lokalny płetwonurek Tim Fogg „zajrzał” do Zielonego Jeziora jednak stracił drogę w zerowej widoczności po wzburzeniu grubych osadów z dna i szybko zrezygnował z dalszej eksploracji. Co więcej, według Lesa istnieją przesłanki by przypuszczać, że syfon ten może być w jakiś sposób połączony z innym dużym systemem jaskiniowym Prod's Pot – Cascades (4km) znajdującym się, według dostępnych planów zaledwie 200-250m na północ od Zielonego Jeziora. Trudno mi w to wszystko uwierzyć ale wyjście jest tylko jedno – sprawdzić samemu.

Mamy więc już plan na jutro, wszyscy są podekscytowani, guinness płynie dalej, typowy piątkowy wieczór u Franka Eddiego... Nikt z nas jeszcze wtedy nie podejrzewa że seria burzliwych wydarzeń zainicjowana tego wieczoru doprowadzi w ciągu niespełna trzech miesięcy do połączenia systemów Marble Arch i Prod's Pot - Cascades w najdłuższą jaskinię Irlandii Północnej.

MARBLE ARCH

Na drugi dzień wchodzimy do systemu Marble Arch *tylnymi drzwiami* poprzez Cradle Hole, potężny lej krasowy o średnicy 50x100m i głębokości 20m. Powoli opuszczamy się na jego dno do okratowanego wejścia jaskini, przed nami do pokonania ponad kilometr podziemnych korytarzy. Pierwsze 50m to masywna komnata, Lower Cradle. Z syfonu po lewej stronie wypływają połączone wody podziemnych rzek Aghinrawn i Sruh Croa. Podążając z nurtem wkrótce tracimy grunt pod nogami i zmuszeni jesteśmy płynąć. Przez kolejne 30m szczelina między powierzchnią wody i stropem jaskini waha się pomiędzy 20-30cm. W 1995 roku zginęło tutaj trzech grotolazów - spowodowany nagłym, ulewnym deszczem prąd rzeki porwał ich w głąb skomplikowanego korytarza, który zdążył wypełnić się całkowicie wodą. To wyjątkowo długie 30 metrów. Płyniemy w milczeniu i gdy w końcu strop jaskini otwiera się ponad naszymi głowami w kolejną masywną komnatę wszyscy oddychają z ulgą; jesteśmy w Grand Gallery, początku turystycznej części Marble Arch. Wkrótce kolejne skrzyżowanie i kolejna podziemna rzeka, Owenbrean, dołącza do systemu. Mijamy zacumowane na okres zimowy łodzie, na których turyści zwiedzają dolne partie jaskini i podążamy w górę Owenbrean przez wykuty w skale tunel, który pozwala na ominięcie uciążliwej górnej galerii, oryginalnej drogi pierwszych odkrywców. Kolejne kilkaset metrów to przyjemny spacer oporęczowanym chodnikiem wybudowanym ponad nurtem wody ku wygodzie turystów. *So far so good...*



jaskini Marble Arch

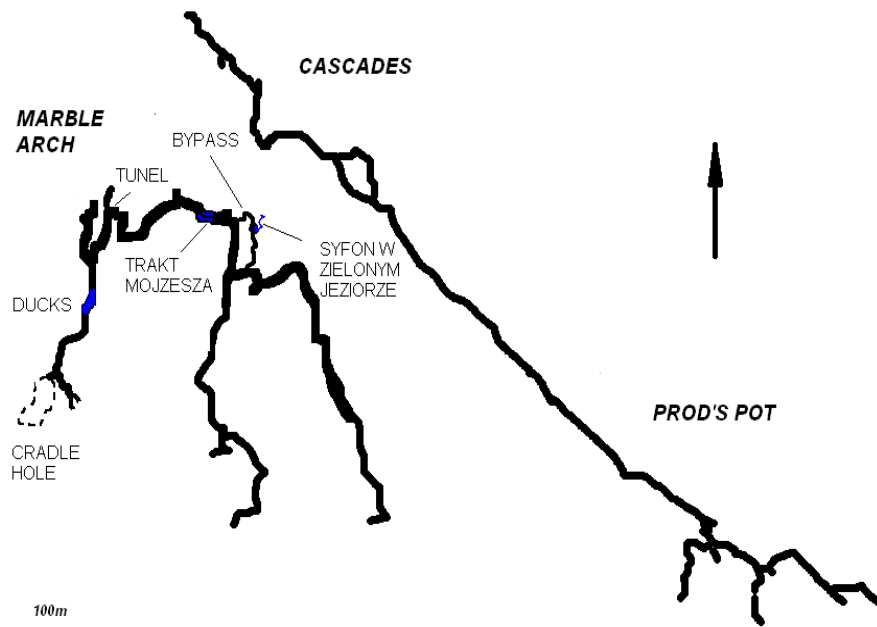
Część turystyczna

Wkrótce przed nami kolejna *atrakcja turystyczna*: strop jaskini obniża się do 2m, a chodnik opada w lekkim zagłębieniu i znika pod wodą. *To Trakt Mojżesza* - wyjaśnia Les, a ja spostrzegam, że zamiast drewnianych poręczy, jak to miało miejsce w poprzednich sekcjach jaskini, tutaj po obydwu stronach chodnika wznoszą się wysokie na półtora metra betonowe ściany - *Dzięki temu zwiedzający mogą przejść do dalszych partii jaskinii suchą stopą*. Brodząc po pas w wodzie, która wypełnia również przestrzeń między betonowymi ścianami, mam wrażenie że nie bardzo rozumiem irlandzkie pojęcie idei o przechodzeniu suchą stopą. Les po raz kolejny przychodzi z pomocą i ze śmiechem wyjaśnia, że pod wodą znajdują się pompy, które w trakcie godzin otwarcia turystycznej jaskini opróżniają wodę pomiędzy betonowych ścian tworzących Trakt Mojżesza. Sto metrów dalej kończy się turystyczna część jaskini a wraz z nią wszelkie udogodnienia. Wracamy do wody ale również opuszczamy główny ciąg jaskini gdyż cel naszej podróży znajduje się w części systemu nazywanej Bypassem ponieważ pozwala ominąć 30-metrowej długości syfon, który broni dostępu do pozostałych 3 kilometrów podziemnych korytarzy. Bypass to również najbardziej uciążliwy etap naszej podróży, przed nami sto metrów przeciskania się przez wąskie szczeliny pomiędzy głazami i kilku uczestników naszej wyprawy ma tutaj poważne problemy. Ostatecznie docieramy na miejsce. Zielone Jezioro w pełni zasługuje na swoją nazwę, przynajmniej w części dotyczącej koloru: jest szokującym kontrastem w zestawieniu z ciemnobrunatną, przefiltrowaną przez kilometry torfowisk wodą większości syfonów w hrabstwie Fermanagh. Podekscytowany, zaczynam się przygotowywać do nurkowania. Zupełnie nie wiem czego się spodziewać pod wodą. Na wszelki wypadek oczekuję najgorszego, to zawsze dobra praktyka w irlandzkich syfonach.

ZIELONE JEZIORO

Pod powierzchnią wody dno szybko opada do -8m i pomimo grubych warst lekkiego mułu bez problemu instaluję 20m poręczówki (wszystko co mam w danym momencie na kołowrotku) w stosunkowo przestronnym i nieskomplikowanym korytarzu biegnącym na północ, w stronę Kaskad. Wszystko to ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu: jak to możliwe, że tak mało uwagi poświęcono w przeszłości temu potencjalnie ważnemu syfonowi ?! (Nurkowano w nim zaledwie raz, kilkanaście lat temu lokalny pletwonurek Tim Fogg „zajrzał” do Zielonego Jeziora jednak stracił drogę w zerowej widoczności po wzburzeniu grubych osadów na dnie i szybko zrezygnował z dalszej eksploracji). Podczas kolejnych wyprawy przy transporcie sprzętu pomaga mi doświadczony brytyjski grotolaz Ian Wilton-Jones. Na końcu poręczówki jedyna możliwa droga wydawała się prowadzić pionowo w górę i w następnej chwili wynurzam się w bańniowym, wypełnionym zwisającymi ze stropu delikatnymi stalaktytami dzwonie powietrznym. Piękne.... Ostrożnie przepływam pod nimi jednak po 10 metrach sufit

gwałtownie obniża się i dalsza droga musi znajdować się gdzieś pod wodą.



Tydzień później mam na sobie suchy skafander, chcę mieć bardziej stabilną pływerność po wynurzeniu się w dzwonie powietrznym. Gdy docieramy z lanem do Zielonego Jeziora jestem zawiedziony - woda ma kolor herbaty z mlekiem i szukanie dalszej drogi pod wodą zapowiada się nieciekawie. Posuwając się po omacku wzdłuż własnej poręczówki z zażenowaniem stwierdzam, że zdarzało mi się nurkować wzdłuż lepiej położonych lin. Dopływam do końca dzwonu powietrznego i próbuję znaleźć dalszą drogę w kierunku północnym pod wodą. Widoczność jest tutaj minimalna i po kilku minutach mojego kręcenia się w kółko spada do zera. Mimo co raz to ponawianych prób nie znajduję żadnej kontynuacji na północnym końcu dzwonu - to największe rozczarowanie ostatnich kilku tygodni... Zrezygnowany wracam po poręczówce na dno syfonu. Nie mam już żadnego pomysłu, najchętniej wróciłbym już do bazy. Próbuję zmusić się do jakiegoś dodatkowego wysiłku, ale szczerze mówiąc nie widzę specjalnie sensu - szukanie drogi po omacku w tym wypełnionym głębokim mułem syfonie wydaje się absurdalne. Co jeszcze mogę zrobić? Z drugiej strony wiem, że jeżeli teraz zawrócę będzie to moje ostatnie nurkowanie w Zielonym Jeziorze; trudno mi będzie przekonać samego siebie, że warto jeszcze tutaj wracać. Zanim zawrócę chcę mieć pewność, że zrobiłem wszystko co było możliwe do zrobienia. Po omacku zamocowuję więc nową linę do ciężarka tworząc tym samym skrzyżowanie na poręczówce, zaznaczam klamerką drogę do wyjścia i powoli zaczynam posuwać się w kierunku północnym, albo tak mi się przynajmniej wydaje. Niespodziewanie robię dobre 10m postępu ale tylko po to by po chwili utknąć w jakimś ślepym zaułku. Wycofuję się powoli ostrożnie zwijając poręczówkę spod siebie i jednocześnie obmacując ściany po obydwu stronach. Po lewej wyczuwam jakiś niski korytarz i po zastabilizowaniu poręczówki do *szabli piaskowej* - plastikowej rurki, którą następnie zatapiaj w mule podłoża - kontynuuję. Kolejna zmiana kierunku i kolejna szabla. Natrafiam na jakąś ścianę po moim prawym boku i postanawiam się jej trzymać. Po kolejnych kilku metrach kluczenia po omacku czuję lekką zmianę w pływerności - droga naprzód najwyraźniej się wypłyca. I co ważniejsze, posuwam się naprzód! Próbuję odczytać kierunek z kompasu, ale nadaremnie, widoczność równa się zero, równie dobrze mógłbym zamknąć oczy. Nie zamykam. Nagle słyszę gdzieś ponad sobą charakterystyczny odgłos rozprężanego powietrza docierającego do powierzchni, co może oznaczać tylko jedno: otwartą wodę! Ponieważ nie wiem na jakiej jestem głębokości postanawiam kontynuować wzdłuż mulistego dna, które już teraz czuję to wyraźnie, wznosi się stromo w górę. Raz jeszcze stabilizuję poręczówkę i po chwili wynurzam się na powierzchni niewielkiego jeziora. Jestem zdezorientowany i niedowierzanie miesza się z podnieceniem. Zdejmuję maskę i wyciągam aparat z ust, ostrożnie smakując powietrze. Świeże. *Ian?* - mówię na głos, wciąż nie będąc przekonany czy w tym całym kluczeniu po omacku nie wróciłem do Zielonego Jeziora. *Ian?! -*

wołam, tym razem nieco głośniejsze. Wciąż klęcząc w wodzie skierowuję światło latarki na regularne, nie zakłócone ludzką obecnością fałdy piasku na brzegu. Znowu brak odpowiedzi. IAN!!! - tym razem krzyczę na cały głos, jednocześnie spoglądając na kompas. I w tym momencie już wiem, że Ian mi nie odpowie: igła zamocowanego na wierzchu mojej dłoni kompasu wskazująca północ patrzy wprost przede mnie co oznacza, że jestem w dziewiczym korytarzu, 40 metrów za syfonem w Zielonym Jeziorze. Droga do Kaskad stoi otworem...

Zostawiam sprzęt na brzegu i udaję się na krótki rekonensans. Przede mną rozciąga się obszerny, wypełniony pięknymi formacjami naciekowymi korytarz. Po trzydziestu metrach zatrzymuję się przed dziwnymi, zaledwie kilkucentymetrowymi formacjami błotnymi ukształtowanymi na rozległej płaszczyźnie skalnej; ich widok przenosi mnie na chwilę pamięcią dziesięć lat wstecz, do pewnego lata spędzonego na dachach Lewantu, do równin Kapadocji i jej baśniowych kominów, których owe *Błotne Wieże*, jak nazwałem formacje, wydawały się być miniaturową makietą. Otrząsam się ze wspomnień. Czas. Obiecałem Ianowi, że w ciągu 40 minut będę z powrotem. Poza tym wygląda na to, że dalsza eksploracja korytarza będzie wymagała nieco wspinaczki, a mój suchy skafander z jego śliskimi, nie dającymi oparcia podeszwami całkowicie się do tego nie nadaje. Szybko szkicuję plan korytarza w wodoodpornym notesie i rozpoczynam powrót.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ